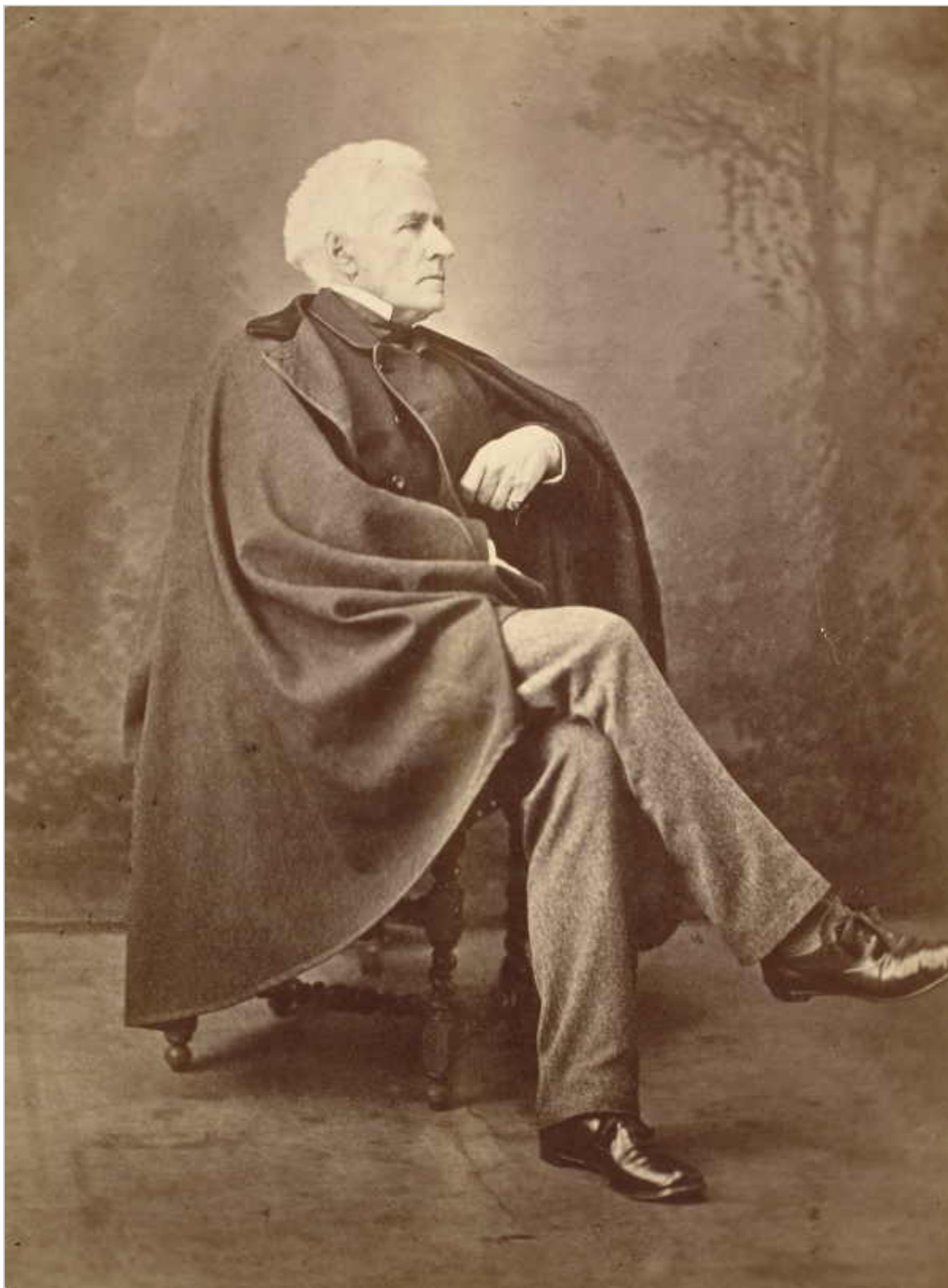


Paweł Edmund
Strzelecki – postać
fikcyjna czy realny
człowiek?



Paweł Edmund Strzelecki

Lech Krzysztof Paszkowski

Prawda nie jest nigdy niewinna i rzadko bywa prosta.

Oskar Wilde.

Sir Paweł Edmund de Strzelecki jest najbardziej znanym Polakiem na kartach australijskiej historii w XIX wieku, wśród kilku mniejszych badaczy urodzonych w Polsce. Istotnie w wielu kręgach uważa się, że jego sława oparta jest jedynie na jego osiągnięciach jako odkrywcy. A jednak te osiągnięcia, interesujące i ważne jako takie, nie należą do najważniejszych w Australii dokonań w zakresie odkryć terytorialnych. Jego specjalne osiągnięcie w „eksploracji”, raczej plasuje się na polu wiedzy naukowej odnoszącej się do Australii, będąc wkładem całkowicie oryginalnym i wszechstronnym. Odkrywczość Strzeleckiego ma wiele płaszczyzn, a każda z nich jest niezwykle interesująca, niezależnie od tego, czy jego wnioski zagadają się z poglądami późniejszymi. Niestety jednak, jest on trudnym obiektem dla biografów. Łatwiej byłoby napisać biografię innego odkrywcy-obcokrajowca, takiego jak Ludwig Leichhardt albo Mikołaj Mikłucho-Makłaj, ponieważ mamy ich dzienniki. Dziennik Strzeleckiego, zatytułowany „Mon Journal” i pisany po francusku, zaginął. Zaledwie kilka stron tego dziennika zachowało się w postaci przypisów do jego „Opisu fizycznego Nowej Południowej Walii i Ziemi van Diemena”. Jego osobista

korrespondencja oraz dokumenty zostały spalone po jego śmierci. Jego listy wysyłane do Polski nie przetrwały I Wojny Światowej, z wyjątkiem kilku stron. Mając więc zaledwie strzępki dokumentacji, napisanie satysfakcjonującej biografii Strzeleckiego jest niemożliwe. Można zaledwie podjąć próbę zrekonstruowania ciągu faktów w ramach okresu jego życia. (...)

28 września 1840 roku Sir George Gipps pisał do lorda Russella:

Z zadowoleniem przesyłam niniejszym Waszej Lordowskiej Mości kopię opisu tej podróży złożonego mi przez Hrabiego [Strzeleckiego], i nie mogę tego zrobić bez powiadomienia Waszej Lordowskiej Mości o uczuciach poważania i szacunku w stosunku do niego, które zostały wzbudzone wśród mieszkańców tej Kolonii.

James Fenton z Tasmanii wspominał go w 1842 roku tak:

Najbardziej czarujący rozmówca. Objechał prawie cały świat, był pogodny w konwersacji, miał bogaty zapas anegdot, które opowiadał w najbardziej interesujący i często zabawny sposób, z silnym cudzoziemskim akcentem... przy tym był wesoły, odważny, o silnej konstytucji fizycznej i obdarzony bogatym zasobem naukowej wiedzy.

5 września 1842 roku lady Jane Franklin pisała do swojej siostry:

On [Sir John Franklin] prawdopodobnie przedstawi panu Murray'owi jedną z najbardziej znanych i interesujących osób jakie kiedykolwiek poznał, nawet przy szerokim kręgu jego dystyngowanych znajomych, polskiego szlachcica, hrabiego Strzeleckiego. Wiem, że będziesz nim oczarowana, jak każdy bez wyjątku, jest on tak dżentelmeński, elegancki, tak bystry, tak znany, tak pełen ognia i życia, a przy tym tak miły, tylko troszeczkę ironiczny, ale nie za wiele. Będzie on najjaśniejszą gwiazdą w twojej galaktyce ludzi zasłużonych. Spotkałam go pierwszy raz około trzy lata temu, w Government House w Sydney, gdzie był w wielkich łaskach u Sir George'a Gipps'a.

W czerwcu 1843 roku, przesłany został do Strzeleckiego uroczysty list, który zaczynał się następującymi słowami:

My, niżej podpisani, nie możemy znieść pańskiego odpłynięcia od naszych brzegów bez wręczenia panu dowodu naszego serdecznego ubolewania. Korzyści, którymi pan obdarzył nasz kraj, dodały do prywatnej przyjaźni dodatkowe motywy, które wołają o publiczne i jednogłośne wyrażenie

naszego szacunku.

Wśród trzydziestu dziewięciu podpisów pod tym listem były te należące do gubernatora Sir Johna Franklina, do Głównego Sędziego Sir Johna Peddera, do Sekretarza Kolonii G. Boyes'a i innych prominentnych osadników w Tasmanii.

Poniżej był Dodatek, podpisany przez lady Jane i osiemdziesiąt cztery inne osoby:

My, niżej podpisane damy z Tasmanii, w pełni dzieląc uczucia szacunku i uznania wyrażone przez dżentelmenów Kolonii pod adresem hrabiego Strzeleckiego, pragniemy mieć udział w zaszczyście dołączenia się do pamiątki którą mają oni zamiar mu wręczyć.

W połowie 1845 roku Charles Darwin napisał do Strzeleckiego po otrzymaniu egzemplarza jego „Fizycznego opisu Nowej Południowej Walii i Ziemi van Diemena”:

Kilka dni temu otrzymałem pański uprzejmy i cenny prezent... Gratuluję panu ukończenia pracy, która musiała kosztować wiele wysiłku i jestem zdumiony liczbą głębokich

tematów, które pan porusza. Proszę mi pozwolić wyrazić mój smutek, że nie ma tu o wiele obszerniejszych wyjątków z ‘M.S.Journal’. Mam nadzieję zobaczyć go pewnego dnia opublikowanego w całości. – Mówi Pan o swoim nieidiomatycznym angielskim; z całego serca życzyłbym sobie, żeby jedna czwarta naszych angielskich autorów umiała myśleć i pisać językiem w połowie tak pełnym werwy a przy tym tak prostym.

21 listopada 1848 roku lord Overstone stwierdził, że Strzelecki jak najbardziej *„dostarczył obfitości dowodów, że posiada te wysokie wartości moralne, które brytyjskie społeczeństwo zawsze miało w najwyższym poważaniu”*.

Takie były opinie wyrażane przez ludzi, którzy znali Strzeleckiego osobiście i obserwowali go w realnym życiu. Po jego śmierci ten strumień pochwał się nie zmniejszył.

Narcyza Żmichowska, jego pierwszy biograf, powiedziała w 1876 roku: „Paweł Strzelecki w młodości i jak się zdaje w całym swoim życiu miał olbrzymie szczęście do ludzi.”

W 1929 tasmański dziennikarz John Reynolds napisał:

Uprzejme usposobienie Strzeleckiego uczyniło go

szczególnie miłym gościem w wielu tasmańskich domach. Nawet dzisiaj trafiają się ulotne wspomnienia o tym przedsiębiorczym i wykształconym Polaku... Strzelecki należy do tej znakomitej grupy mężczyzn, którzy uczynili wiek XIX tak niezwykłym. Razem z Humboldtem, Franklinem, Darwinem, i Wallace'm, musi być uznany za jednego z wiodących naukowych odkrywców swojego czasu. Na pewno w stolicy Australii może się znaleźć jakieś miejsce żeby odpowiednio upamiętnić jego znakomite zasługi dla tego kraju.

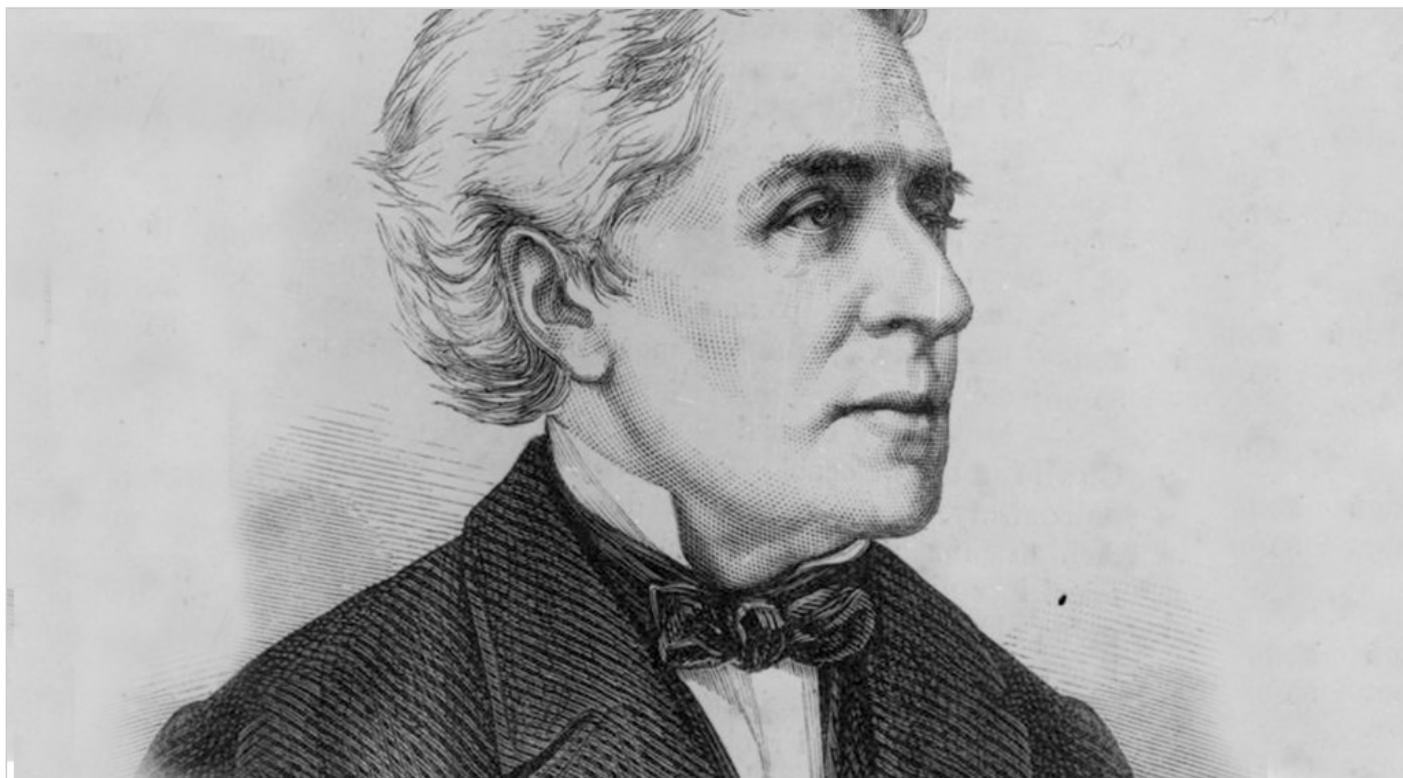
W 1939 roku, dr Arundell Neil Lewis, znakomity geolog australijski, w płomiennych słowach oceniał zawarty przez Strzeleckiego w jego „Opisie fizycznym” dowód stanu paleontologicznej wiedzy w Australii w jego czasach. Wskazywał na *„benedyktyńską pracę, za którą australijska geologia pozostanie wdzięczna na zawsze”*.

20 października 1942 roku, Sir George Clark, prezes Królewskiego Towarzystwa Geograficznego w Londynie, złożył hołd Strzeleckiemu mówiąc:

Kiedy przyjrzeć się bliżej życiu hrabiego Strzeleckiego, dwie rzeczy, poza jego odwagą i determinacją, wydają mi się niezwykle: pierwsza, to jego dar wzbudzania wśród wielkich

umysłów uczucia przyjaźni i zaufania do niego. Jego związek z innym wielkim nazwiskiem naszego Towarzystwa, Sir Johnem Franklinem, jest wystarczającym tego dowodem. A inną właściwością jego charakteru, jak ja to widzę, jest jego głęboka prawość.

Bernard Cronin, autor i nauczyciel, który wychował pokolenie australijskich pisarzy i dziennikarzy, zauważył w swoim artykule z kwietnia 1959 roku: *„Niewielu ludzi miało tak bogate i urozmaicone życie jak hrabia Strzelecki. Jego miejsce w annałach Australii jest bezpieczne na zawsze, bo jesteśmy w znacznej mierze jego dłużnikami”*.



Paweł Edmund Strzelecki

Lista tych wielce pochlebnych opinii mogłaby być wydłużona i z łatwością podwojona. Jednakże w roku 1961, zupełnie inny obraz Strzeleckiego został zaprezentowany w biografii napisanej przez Helen Heney, zatytułowanej „Przez przyciemnione szkło: historia Paula Edmonda (tak!) Strzeleckiego”. W książce Heney rzucony został cień na moralną reputację Strzeleckiego, jego profesjonalna kompetencja została pomniejszona i w ogóle został on odrzucony jako niesympatyczny Polak. Nagle odrzucono i zanegowano wszystkie poprzednio cytowane opinie ludzi, którzy Strzeleckiego znali osobiście. Przyjęto za zasadę twierdzenie, że ci ludzie mylili się, kiedy rysowali pochlebny obraz Strzeleckiego na podstawie własnych obserwacji. Autorka napiętnowała Strzeleckiego jako *„figurę godną politowania”*. Ten wątek znalazł kontynuację w stałym strumieniu recenzji, a powtórki w książkach często były upiększane takimi obelżywymi wymysłami jak *„hrabia był podrabiany”*, *„drugorzędna i bezbarwna figura”*, *„ubogi krewny rodziny z pretensjami do szlachectwa”*, *„samozwańczy arystokrata”*, *„nie był odkrywcą złota”*, *„nie wspiął się na Mt Kościuszko”*. Ponadto *„jego życie rozgrywane było jako monstrualne kłamstwo i oszustwo”*, *„Strzelecki kreował i żył kłamstwem”*, *„samozwańczy naukowiec i badacz”*, *„awanturnik bez skrupułów, o niewielkim talencie i możliwościach, oportunistą, który korzystał z każdej okazji z niewielkim szacunkiem dla prawdy, aby zadowolić swoje ambicje”*, *„jego rodzice byli chłopami”*, *„urodzony w 1797 pod Poznaniem*

wśród ziemiaństwa ze słomą w butach (*seat-out-of-their-pants gentry*)”, „próżny *exhibicjonista*”. Jeden z uczonych z australijskiego uniwersytetu określił wysiłek Heney jako „bardzo duży naukowy kij użyty do zbitcia bardzo małego historycznego psiaka”, podczas gdy inny bardzo utalentowany pisarz, prawdziwa duma australijskiej literatury, napiętnował Strzeleckiego jako „człowieka o wyćwiczonej bezczelności”. Pewien sydneyjski dziennikarz i autor wyraził się, że „Strzelecki dostałby, co mu się należało, gdyby po dotarciu na szczyt Mount Kościuszko spadł i złamał sobie kark”.

Po zebraniu i przeczytaniu tych uwłaczających komentarzy, uderzyła mnie uwaga opublikowana 1 czerwca 1962 w melbournieńskim miesięczniku *Bohemia*:

Jakiż to musiał być wszechmocny magik, że sam sugerował, aby go honorowano i kochano kiedy nie był tego wart i że znakomici ludzie jego epoki – ministrowie, politycy, naukowcy, administratorzy – nawet taki realista jak Charles Darwin – potulnie zgadzali się i poddawali woli Strzeleckiego?

Tego samego dnia recenzja zatytułowana „Przyczerniony obraz” ukazała się w *The Times Literary Supplement*, gdzie krytyk pisał:

Panna Heney nie zaprzecza, że w historii Strzeleckiego był światowy sukces, ale dokuczliwie łaje go nawet za cechy takie jak towarzyski wdzięk i lojalność wobec swojej przybranej ojczyzny, które nie wydają się karalne według żadnych praw moralnych. Także i psychologiczna interpretacja używana jest do stronniczego zabarwiania faktów i jest to bardzo naiwny rodzaj psychologii.

Zastanowiło mnie też zdanie znalezione w napisanej przez dobrze znanego dziennikarza, Geofreya Tebbutt'a recenzji książki Geofreya Rawson'a *The Count*, opublikowanej w *Herald*'zie w Melbourne 19 grudnia 1953: „*Pan Rawson jest zbyt uczciwy i zbyt zdyscyplinowany, aby wyciągać wnioski idące dalej, niż pozwalają na to dowody*”.



W tej sytuacji sięgnąłem do trzech głównych biografii Strzeleckiego opublikowanych przed rokiem 1961. Znakomity australijski historyk, Ward L. Havard, napisał pierwszą z tych biografii w 1939 roku, i zakończył swoje cenne opracowanie (zatytułowane „Sir Paul Edmund de Strzelecki”, ukazało się w *Royal Australian Historical Society Journal*, tom 26, część 1, 1940) następującymi słowami:

Z pewnością jego zadziwiająca sprawność fizyczna i wigor, w połączeniu z wielką energią intelektualną i dogłębnym współczuciem dla bliźnich, wyniosły go do rzędu ludzi wybitnych. Z Głuszyny pod Poznaniem, bez wpływów rodziny

czy bogactwa, zdobył sobie zaszczytne miejsce w Victorii i Anglii.

Komandor Geoffrey Rawson, w swojej książce *The Count* (1953), doszedł do wniosku, że Strzelecki *„osiągnął ten światowy sukces i satysfakcję wyłącznie siłą swoich zalet i swojej ujmującej osobowości”*.

Wacław Słabczyński, kurator Biblioteki Narodowej w Warszawie, który skonsultował się z co najmniej dwiema setkami bibliotek na czterech kontynentach przed napisaniem najbardziej szczegółowej i najlepiej udokumentowanej do dnia dzisiejszego biografii Strzeleckiego, pod tytułem *Paweł Edmund Strzelecki: Podróże-Odkrycia-Prace* (1957) skonkludował: *„Nie cenił sobie sławy, a jednak ona go dosięgła wbrew jemu samemu”*.

Ani jeden z tych bardzo różniących się od siebie biografów nie wyczuwał i nie podejrzewał niczego, co mogłoby spowodować oszczerstwa i obelgi przytaczane powyżej. Nie podobało mi się obrzucanie błotem nieżyjącego człowieka, który dobrze przysłużył się Australii i jej mieszkańcom. Toteż w latach 1950-tych narodziła się moja sympatia dla niego. W reakcji na słowa z Wprowadzenia do książki Heney *In a Dark Glass* – *„Ta rozprawa będzie dla wielu nie do przyjęcia i to jest ostateczny powód, żeby ją napisać”* – zdecydowałem sprawdzić i ocenić dowody w

istniejących materiałach biograficznych i w literaturze na temat Strzeleckiego. W ciągu ostatnich czterdziestu lat wyłonił się obraz charakteru i dokonań Strzeleckiego całkowicie odmienny od tego, który stworzyła Heney, a niezbyt odległy od tego, jak widzieli go jemu współcześni.

Warto zacytować dialog dwóch zmyślonych i anonimowych postaci, które obserwują Strzeleckiego wchodzącego do budynku Towarzystwa Królewskiego w Londynie. Ten fikcyjny dialog został umieszczony w prologu do dysertacji „P. E. Strzelecki – Australian Explorer; 1797-1873”, za którą panna H. E. Heney otrzymała stopień magistra (Master of Arts) Uniwersytetu w Sydney w roku 1937. Ten dialog kończy się następująco:

Jego towarzysz roześmiał się. „Fakty, nawet w tych rzadkich przypadkach, kiedy są prawdziwe, a nie tylko uznawane za takie, nic nie znaczą. Każdy może przekręcić je stosownie do potrzeb. Prawdziwa prawda, jeśliby taka w ogóle istniała, mogłaby być odnaleziona w osobowości człowieka, który te fakty wykreował, w wewnętrznych motywach, które skłoniły go, żeby postąpił tak, a nie inaczej. Powód, dla którego człowiek poszukuje, cel, który go skłania do podróży, znaczy dla mnie więcej, niż góry, na które się wspiał czy rzeki, którym nadał nazwy. Ale to rzadko znajdziesz w biografii”.

„Czy w twojej romantycznej opowieści jest więcej prawdy niż w moich nagich faktach? W końcu obie wersje są tylko wyborem możliwych materiałów”.

„Daj mi mój rodzaj prawdy, i możesz sobie zatrzymać swoją własną. Co widzi się w życiu, w końcu, jest prawdopodobnie nie tyle tym, co tam jest, ile tym, co się tam widzi. Biografia to tylko fikcja pod inną nazwą”.

Po zobaczeniu tych słów napisanych przez Heney, odczuwa się pokusę żeby zapytać czy wszystkie biografie, które napisano i opublikowano, są naprawdę fikcją? Czy fakty mają być wykrzywiane tak, żeby odpowiadały intencjom i zachciankom biografów? Z pewnością powinna być jakaś różnica między biografem, a powieściopisarzem.

Inspiracja

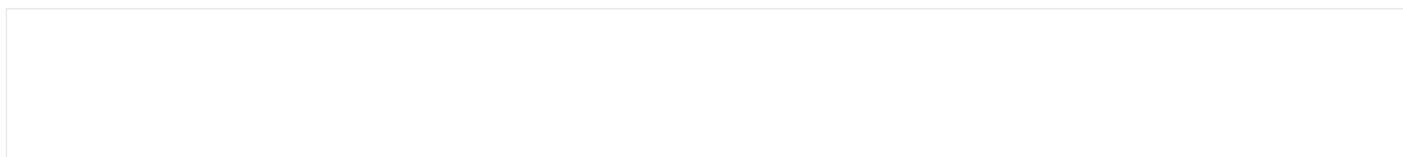
australijskim buszem w kolażach Anny Fiali



Anna Fiala

Anna Fiala ukończyła Akademię Sztuk Pięknych w Łodzi. Najpierw zajmowała się tkactwem artystycznym, następnie przez wiele lat malowała olejami martwe natury, pejzaże, ciekawe formacje chmur itp. Jednak prawdziwą pasję znalazła w

fotografowaniu przyrody. Australijski busz dostarcza jej niekończących się inspiracji i emocji w odkrywaniu specyficznej atmosfery, nasyconej wielowiekowym istnieniem i zmianami tam zachodzącymi. Unikalne światło Australii odgrywa tu także swoją rolę – jest wielkim pomocnikiem artysty. Anna nie tylko fotografuje pejzaże leśne, ale ma szczególne oko do detali utrwalonych na korze starych drzew, w układzie światła, zależnym od sezonu, pogody lub pory dnia. Fotografuje leśne obrazy, które do niej przemawiają w szczególny i unikalny sposób. Pokazuje realistyczne obrazki australijskiej przyrody i ukrytą w nich abstrakcję.



Galeria







Gymkhana



Anna Habryn

Gymkhana w Payne's Find przyciągała w każdą Wielkanoc tłumy

ludzi. Zawody i pokazy konne były największym wydarzeniem roku.

Oprócz pokazów i wyścigów codziennie smażono setki steków na olbrzymich *barbecues*, a piwo lało się strumieniami. Przez cały weekend maleńki pub pękał w szwach, do baru trudno się było docisnąć, a szczęśliwcy, którzy zajęli barowe stołki opuszczali je tylko po to, żeby na chwilę wyskoczyć w wiadomej sprawie. Toalety były obleżone, ale krzaków dookoła zatłoczonego pola kempingowego nie brakowało. Busz zaczynał się za ostatnimi przyczepami, w których mieszkali przez dwie lub trzy noce farmerzy z całej okolicy.

Oczywiście, wszelkie możliwe organizacje korzystały z wielkiego zjazdu właścicieli i pracowników okolicznych *stations*, żeby organizować kiermasze i stoiska, w których sprzedawano domowego wyrobu arcydzieła tworzone w kuchniach i przydomowych warsztatach na cele dobroczynne.

Margaret była działaczką jednej z takich organizacji, toteż na *Gymkhana* bywała co roku obowiązkowo. W tym roku umówiliśmy się tam w drugi dzień świąt.

Od kilku tygodni krążyliśmy z Margaret po przecinających się orbitach i przyciąganie czuliśmy coraz mocniej, ale o spotkaniu na uboczu mogliśmy tylko marzyć. Mnie pilnowała wcale nie

dyskretnie matka moich dzieci, jej pilnowała dorastająca córka, istotka sprytna i wszędobylska. Spotkanie w Payne's Find

podczas wielkanocnej imprezy było pomysłem – jak nam się zdawało – doskonałym. W tłumie można zniknąć z oczu rodzinie, co nie było w żaden sposób możliwe w malutkiej miejscinie, takiej jak Cue.

W świąteczny poniedziałek rano obaj z moim dobrym kumplem Rodem wybraliśmy się na imprezę. Trochę popatrzyliśmy sobie na *barrel racing*, czyli na panie wywijające na koniach esy floresy między trzema beczkami, a potem Roda pociągnęło w stronę pubu. Umówiłem się z nim na powrót do domu wieczorem – i powędrowałem szukać mojej przygody. Margaret znalazłem z pewnym trudem, bo stoisk sprzedających hot-dogi z cebulą i keczupem było kilka. Stałem w kolejce, kupiłem szaszłyk i dałem jej znak, że czekam. Pięć minut później znalazła mnie w tłumie i ostrożnie, bez ostentacji, powędrowaliśmy w busz.

Dzień był słoneczny i słońce prażyło. Margaret miała sukienkę w kwiaty i duży kapelusz. Wyglądała pięknie. Kiedy ten kapelusz zdjęła i zaczęła mnie całować, ziemia zakołysała mi się pod nogami. Rozejrzałem się, a że byliśmy sami, podniosłem moją kobietę i ułożyłem na rozgrzanym czerwonym piasku. Śmiała się gardłowym, lekko ochrypłym śmiechem. Czułem jej ręce na moim karku, na moich plecach i pośladkach. Jej białe ciało

pachniało tak, że oszalałem zupełnie. Zamknąłem oczy i przez jakiś czas zanurzałem się w tym zapachu, czując, jak pragnienie wzbiera i pęcznieje.

- Mamo!

- To było jak uderzenie bata po plecach. - Shit! - pomyślałem i zastygłem w bezruchu.

- Przestań! - To było do mnie. - Ja mam przestać? - Margaret gwałtownie wywinęła się spode mnie i usiadła. - Shit, shit, shit. Cholerna córka. Znalazła nas, i to właśnie teraz. Niech to diabli.

Ale Margaret już stała na nogach i otrzepywała się z piasku. Potem bez słowa pociągnęła córkę za rękę i prawie biegiem ruszyła z powrotem w stronę ludzi. Pod krzakiem zostały majtki. Pewnie dla mnie na pamiątkę. Shit.

Doprowadziłem się do porządku i ruszyłem w stronę ludzi. Czułem się tak podle, że musiałem się napić.

Przed pubem cały placzyk zastawiony był motocyklami. Demony, klub, a właściwie gang znany w okolicy. Czarne motocykle, czarne skóry, biżuteria z białego metalu wszędzie, gdzie się ją da umieścić. Ich dziewczyny miały twarze malowane na białło. a włosy na czerwono. Widocznie dopiero co przyjechali, bo

zdejmowali kaski, ocierali pot i kurz z twarzy. Zaraz zajmą wszystkie stołki w barze, musiałem się śpieszyć.

W środku maleńkiego pomieszczenia były zaledwie trzy stoliki, zajęte, ale przy barze siedział mój kumpel Rod. Przecisnąłem się do niego i jakoś właśnie w tej chwili facet obok wstał i chwiejnie ruszył do wyjścia. Wskoczyłem na jego miejsce i poczułem się lepiej.

- Bitter – zażądałem i patrzyłem, jak bursztynowy napój pieni się w mokrej szklance. a piana spływa barmanowi po palcach.

- Cholerni *bikies* – powiedziałem do Roda. Byłem wściekły, ale nie mogłem Rodowi powiedzieć o swojej porażce w krzakach więc zacząłem się wyżywać na facetach w czarnych skórach na motorach, co robią burdy. Łobuzy, zdemolowali niejednego roadhouse, jak mówią ludzie.

- „Maleńki” – powiedział Rod.

- No właśnie – przytaknąłem. – O nich mówię. „Maleńki” to było przezwisko przywódcy gangu. Chłop był podobno olbrzymi.

- Zamknij się – powiedział Rod.

- Boisz się ich? – zapytałem ze złością. Rod przez zaciśnięte zęby

mruknął – za tobą.

Okręciłem się na stołku o sto osiemdziesiąt stopni – i nosem prawie otarłem się o wielką metalową klamrę z jakimiś dziwnymi ornamentami. Wyżej była skórzana kamizelka, niżej, no cóż, mogłem go pocałować w pępek. Facet był rzeczywiście dwumetrowy. W ułamku sekundy przemknęło mi przez myśl, że nie mam szans. Ale dzielnie spojrzałem w górę. Ponad siwiejącą brodą widziałem nos i oczy, które wpatrzone były w półki nad barem. Nad moją głową złożył zamówienie i odszedł z trzema piwami w olbrzymich łapach nie zatrzymawszy na mnie wzroku nawet przez sekundę. Jakby mnie w ogóle nie było.

Tego dnia upiłem się do nieprzytomności. Rod zaniósł mnie do samochodu na plecach, ale zanim dojechalismy do Cue, obudziłem się. Była noc, kiedy wysiadłem przed swoim domem. W żadnym oknie nie paliło się światło. Nie wszedłem do domu. Poszedłem do szopy, gdzie spokojnie przeżuwał siano mój koń. Miałem Bena. Miałem przyjaciela, który mnie kochał. I ja go kochałem.

Założyłem Benowi uzdę i wyprowadziłem go z szopy na ulicę. Miasteczko spało spokojnie. Klepnałem konia po szyi. Ja wam pokażę, pomyślałem. Wdrapałem się na grzbiet i na oklep pogalopowałem główną ulicą wrzeszcząc na całe gardło:

- Yahoo! Yahoo! Yahoo!

A potem spadłem gdzieś w krzaki i przespałem do rana. Tak straciłem szansę na płomienny romans i męską walkę ze złem. Cholerna australijska prowincja!